Tom VIII.

1. Lutego



Nr. 4.

1863.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Starodawna kaplica.

(Dokończenie).

A ja spytałem zaraz dziadka:

No! i coż się stało z xiędzem, panem i waszym pradziadkiem Szymonem?

Na to dziadowinka rzecze:

Widzi Jegomość, jak to popowracały dzieci i wdowy i pani dworu do domu z lasów, jak to zaczęło wszystko ryczeć, po ziemi się talać z żalu i poginęły dzieci z żalu za matkami i ojcami swemi i wtedy zeszli się starsi ludzie i nuż rada w radę, co tu robić bez xiędza i pana? Kto się pomodli za nas, kto na sąd boży przygotuje? a kto pomoże i poratuje w biedzie i poradzi na dobre i do króla przemówi za chłopkami? i wybrali trzech z gromady, aby oni poszli szukać xiędza i pana i jego dzieci i innych tam do Tatarów i ci też poszli. A tu mija rok, a ich ani słychu ani dychu — mija drugi rok, już gromada stawiała kościół, bo król dał pieniędzy na to, już i dwór postawili jaki taki i chłopi pobudowali sobie chałupki, bo się panowie i inne gromady na to składali, a król nadesłał pięć garcy

pieniądzy dla nich, a tu ani dudu o naszych posłach. Aż dopiero na trzeci rok zjawiło się jeno dwu z tych posłów, bo trzeci został tam zafantowany dopóki nasi nie nadeszlą pienię̧dzy na wykupno xiędza, pana i innych.

A ja się odezwał na to:

I cóż też mogli oni opowiadać o tamtych biedakach?

A dziaduś mówi mi:

Oj Jegomość! Jegomość! toć ci Tatary mieli przykuć xiędza i pana i innych do jednej sztaby żelaza za obie ręce i tak ich trzymali, ale jak nasz jeden poseł dał się także okuć dobrowolnie za xiędza i pana swego, to dopiero wtedy wolno było im jedną ręką ruszać i dopiero wtedy mogli się choć sami wody napić i zjeść co im kto podał, albo się przeżegnać i podnieść choć jedną rękę do wysokiego nieba do Pana Jezusa o miłosierdzie jakie.

A ja dodałem na to:

Widzicie dziadusiu! jacy to byli ludzie dawno po wsiach; xięża ginęli za owieczkami, panowie szli na wojnę i mękę za gromady swoje, a gromady stały o xięży i panów jakby za ojcami swymi bo też xiądz i pan to ojcowie na wsi — xiądz dobry to ojciec bo prowadzi duszyczki do nieba na wieki i uczy o Bogu, a pan dobry to także ojciec, bo radzi, ratuje, pomaga i jako rozumny broni praw gromady, bo on najstarszy w gromadzie. A gdzie to teraz tak się dzieje? gdzieby teraz gromady stały tak o kościoły i dwory, żeby ludzie poszli na koniec świata szukać xiędza i pana swego? Ale mówcieno dalej, bo to i na mnie czas wielki jechać na odpust.

Dziaduś odetchnął i gadał dalej:

I widzi Jegomość! jak wrócili do nas ci ludzie i opowiedzieli nam o tej biedzie, to też nie pozostało tak i nie skończyło się jeno na samym płaczu i żalu, boć zaraz poszli ci gazdowie do króla do Krakowa, a tenci wysypał im pełny kapelusz dukatów, potem szli od dworu do dworu, od plebanii do plebanii, od wsi do wsi i wszędzie zbierali pieniądze na wykupno tych biedaków od Tatarów i tak zgromadzili coś sta i coś jeszcze więcej jakie tysiące i znowu poszli do Tatarów het gdzieś aż za Sadogórę i patrzcieno dobrzy ludzie! wydobyli

z biedy tych naszych nieboraków! Oj co to musiała być za radość na wsi, jak wrócił na plebanię xiądz staruszek i pan i dzieci jego i chłopskie dzieci?

A ja się zadumał nie mało na to gadanie i mówiłem dziadkowi:

Toć to pewnie gromada postawiła tę kaplicę na pamiątkę dla nas, abyśmy dziś rozpowiadali sobie jeden drugiemu o dawnych ludziach i abyśmy tu dziękowali panu Jezusowi i Najświętszej Pannie za opiekę nad biednym ludem, toć pewnie i ta latarnia świeci się co piątek na to, aby każdy przechodzący tędy pomodlił się i dowiedział o dawnych czasach.

A dziaduś na to kiwnął siwą głową i dodał:

A jeno że tak samo, jak Jegomość mówią, jeno starzy ludzie gadają, że tu na tem miejscu witała gromada cała swego xiędza, pana i swoich krajanów, co wrócili wtedy z tej strasznej biedy i tu stanęła ta kaplica, ale wie to Bóg, jak dawno ona tu stoi. Jeno nasz pan gadał mi, że tu gdzieś na ścianie stoi coś popisane, ale ja tam nie rozumiem czytania, jeno robię swoje i pilnuję tej kaplicy, bo to obrona mej chałupiny i chwała Boża dla mnie grzesznego człowieka.

Ja wstałem zaraz z kamienia i poszedłem szukać po ścianach kaplicy owego napisu i znalazłem rok niewyraźny 1286, i mówię dziadkowi:

Oj dziaduniu! dziaduniu! wiecie wy przez ducha świętego ile to lat temu, co wy tu gadali?

A on popatrzył na mnie i słuchał, a ja mówię:

Toć to już blisko 600 lat stoi ta kaplica — i widzicie był królem polskim wtedy w Krakowie Leszek Czarny, a wtedy to byli tu Tatarzy jakie trzy razy w krótkim czasie, a w tym roku, jak wy mi gadacie, zabrali oni samych dziewek jakie trzydzieści tysięcy z naszych krajów i wtedy to zabrali oni waszego xiędza, pana i tyle ludzi i wtedy to porobiło się to wszystko, jak u was starzy ludzie do dziś opowiadają o tem.

I zeszło się potem do tej kaplicy dosyć ludzi z Wierzbowic, a ja im też opowiadał na nowo to wszystko i dodałem jeszcze, że ten polski król Leszek Czarny królował 10 lat w Krakowie, że był to król dobry i ojciec dla gromad, że

miał biedę z tymi Tatarzyskami, bo mu ciągle leźli na kark i trapili mu ludzi i palili całe gromady, że do tego był głód wielki i powietrze straszne po tych Tatarach, a jak on pomarł, to była bieda w Polsce przez jakie 6 lat, bo on nie miał dzieci, jeno został po nim młodszy brat, Władysław mały czyli Łokietek, a ten dopiero porobił porządki po gromadach polskich. A gdym to powiedział, prosiłem ludzi, aby się modlili za duszę tego króla i tych, co poginęli od Tatarów, i uklękliśmy razem wszyscy i zmówiliśmy wieczne odpoczywanie za nich, a ja potem odjechałem. A wam też moi bracia i gromady piszę o tem, o czem ja się przypadkiem dowiedział, abyście i wy też wiedzieli o tej kaplicy i rozumieli, jak to bywało dawno z ludźmi na tej ziemi, i jacy to byli króle i xięża i pany i gromady całe i abyście wy też dziś tak dobrymi i poczciwymi byli. *Xiądz Wojciech z Medyki.*

Modlenie kłosków.

Powiedźcie proszę matulu moja,
Czemu ptaszyna śpiewa w zdroju?

Ptaszyna pacierz mówi dziecino,
Modli się Bogu, a spiewem ino,
Bo ptaszek mówić nie umie składnie,
Więc się spiewaniem modli tak ładnie.

Matulu moja powiedźcie jeszcze,
Dla czego zboże w polu szeleszcze,
I wciąż się chyla do ziemi kłosem?

O dziecię moje, bo przed niebiosem,
Przed panem Bogiem co mieszka w górze,
Każde stworzenie chyla się z cześcią,
Więc ludzie, ptaszki, zboże i róże,
Z pokłonem kwiaty wszystkie szeleszczą.

A tak się z niemi dzieje za młodu
Jak z dziećmi, tyle z niemi zachodu.

Zboże maleńkie nie wie co trzeba,
I prosto główką patrzy do nieba,
I panu Bogu się nie pokłoni,
Zaś bezrozumne są jeszcze oni.

Dopiero wietrzyk jak dobra matka
Nachyla główkę zboża i kwiatka,
I mówi: kłosku chylaj powoli,
A Bóg ci za to wyrość pozwoli.
I które zboże pięknie się chyla,
To też urośnie wielkie, ot tyla,
I w kłosie miewa ziarnek pełniutko,
I już się kłania zawsze cichutko.
Zaś kiedy zboże nie słucha które,
I główkę prosto podnosi w górę,
To takie bywa puste, bez ziarna
I już z takiego rzecz bywa marna.

Otóż pamiętaj dziecinko moja,
Niech będzie dobra modlitwa twoja,
A pan Bóg urość tobie pozwoli,
I będziesz miało szczęścia do woli.

Pamiętaj także byś grzeczne było,
I abyś główkę skromnie nosiło,
Bo tylko puste kłoski wystają
W górę, a puste ziarnek nie mają.

Skarb zaklęty.

Było to w niedzielę. Dopiero co tylko dnieć poczęło, kiedy w izbie młynarza Gazdy gorzała świeczka na stole i już się krzątali. Młynek Gazdy leżał nad samym krańcem Siewochy, a teraz właśnie dla wielkiej suszy był stanął. Toć dziwnie wygląda owo ranne krzątanie się w chacie młynarza, kiedy Gązda nie potrzebywał czuwać w młynie a jeszcze więcej, że to był dzień niedzielny. W izbie był młynarz, jego żona Jagna i urlopnik *Johann*, jak się sam nazywał, luboć go Jonkiem zwano po ludzku.

— Mężu mój, mężu! odezwała się z żalem Jagna — czy chcesz zostawić sieroty po sobie — patrzże na to biedactwo!

— Ej *kuda* — odrzekł urlopnik — ktoby w to wierzył, co chamy gadają — ja *szyćko* znam lepiej — wszakże byłem w świecie, dużo rzeczy widziałem, ale *tajfla* nie widziałem nigdzie. *Jo jo* wierzcie mi Gazdo — ja wam za szyćko stoję.

— Ależ mój mężu — błagała Jagna ze łzami — toć tobie milsze jest życie, aniżeli ten skarb przeklęty!

— Et, co znowu — mówił urlopnik dalej — kiedy można mieć i życie i pieniądze, a *tajfli* w dzień śpią — oni nam teraz nic nie zrobią.

— Prawda, prawda, odezwał się wreszcie Gazda, lubo znać było, że strach siedział mu już na plecach.

— Tylko odwagi! odwagi! wołał urlopnik a będziemy...

— Będziemy mieć skarb — dokończył młynarz i oczy obom zaiskrzyły się z radości. Teraz za nic już były wszystkie prośby i błagania biednej Jagny — młynarz postanowił usłuchać urlopnika i poszedł za nim.

Zaraz za wsią na małej górce były rozwaliska starego zamku; na mil kilka w okolicy widać je było — a lud dziwną opowiadał sobie o nich gadkę. Powiadano, że za bardzo dawnych czasów miałci tu jakiś pan bogaty zbudować warowne zamczysko. Osiadłszy w niem na starość stał się on odszczepieńcem od wiary Chrystusowej a zapisawszy duszę swoją czartom zostawił im po sobie wielkie skarby.

Otóż gadka prawi — że i teraz jeszcze mają czarci, gdzieś w piwnicach zamkowych siedzieć na tych skarbach — a pijani lub lękliwi i dziś jeszcze słyszą spiewy, muzykę głośną i tańce djabelskie i różne a różne dziwa w pośród rozwalisk, zaś wszystko ucicha i konczy się — kiedy kur na północ piać poczyna.

Temuż omijają wszyscy stare zamczysko a matki straszą płaczliwe dzieci djabłem co na skarbie siedzi.

Otóż to tutaj wybierał się urlopnik z Gazdą ażeby znaleźć skarb zaklęty.

Słonko już dobrze było na niebie podeszło, zanim obaj wyruszyli w drogę. Młynarz niósł dwa rydle — a urlopnik

ciężki, długi świder i dwu korcowy wór pod pachą. Wyszedłszy zaś z chaty szli oni różnemi manowcami — bo juści, że na prostej drodze mógł ich kto łatwo zdybać czego żaden z nich nie chciał. Manowcami była droga daleko dłuższa, lecz im się więcej do zamczyska zbliżali, tem bardziej zaglądał strach obom w oczy, nawet już i *Johann* nie miał tej odwagi, którą tak wojował w izbie Gazdowej.

— Ja się czegoś boję — mówił młynarz.

— At pleciecie głupstwa—odrzekł urlopnik, choć także trząsł się ze strachu.

Wydrapali się wreszcie na górkę i już byli blisko zamczyska — młynarz ledwo co włókł nogi za sobą — a urlopnik także zwolnił kroku.

— Gdybym był wiedział — zawołał znowu młynarz — że tu tak straszno, byłbym się wyrzekł wszystkiego.

— Nic nie pomoże! odpowiedział urlopnik i ująwszy bladego ze strachn młynarza za rękę zeszedł z nim na dół, do piwnic zamkowych.

Zęczęli więc szukać tutaj; przetrzęśli wszystkie zakamarki, zwiércili i skopali całą piwniczną ziemię — a skarbu, jak nie było tak nie było.

— A co, gdzie skarb? pytał z wyrzutem Gazda urlopnika.

Lecz nagle dał się słyszeć stukot jakiś w pobliżu.

— Słyszysz?! zawołali obaj na raz.

— To djabły!.. krzyknął urlopnik.

— Jezus — Marja! ratunku! uciekajmy! — zawołał młynarz i obaj prędko się wymknęli i weszli w wąską ciemną sień, która szła wedle całego dołu piwnicznego środkiem. Ale stukot wcale nie ucichał, lecz coraz był głośniejszy i bliższy.

— Gwałtu!!. ratunku! krzyczeli obaj umykając przed goniącą marą. Raptem tuż za sobą usłyszeli przeraźliwy pisk i równocześnie przesunęło im się coś pomiędzy nogi. Urlopnik powalił się na ziemię jak długi — a młynarz usiadł na *stracha* jakby na konia i uchwycił się sierści zprzodu, gdyż sierść miał na sobie mniemany djabeł.

— Gwałtu! ratunku! djabeł mnie porwał i unosi — krzyczał biedny młynarz, a mniemany djabeł umykał z młynarzem

i piszczał przeraźliwie. Wyniósł go wreszcie na świat, lecz tu już nie miał on więcej siły trzymać się na swoim wierzchowcu — a blady jak ściana i bez przytomności powalił się na ziemię.

— Pan młynarz na wieprzu!. cha... cha... dały się słyszeć głosy i wiele ludu przybiegło na pomoc powalonemu.

— Mężu mój — zawodziła Jagna, która tu także była i gorzko płakała nad młynarzem, co jak kłoda leżał bez życia.

Zaczęto cucić młynarza, gospodarze czynili co tylko mogli, lecz Gazda leżał ciągle jakby trup na ziemi — i ledwo co tylko znaki życia dawał. Dobra zbiegła chwila i słonko w południe już stanęło — kiedy młynarz zaczął się ruszać i przychodzić pomału do siebie.

Zdziwi was to moi mili — skąd raptem wzięła się tutaj Jagna z tyla ludem? Otóż cała sprawa była taka. Skoro tylko Gazda i urlopnik wyruszyli w drogę drugiemi drzwiami, pobiegła zasmucona żona do wsi, ażeby zwołać ludzi na ratunek. Ledwo co tylko z poczciwymi ludźmi zdążyła na górkę, kiedy raptem ujrzano młynarza na wieprzu karmnym Piotrowej wyjeżdżającego, jak by na koniu z rumowiska. Świnie sielskie ryły sobie tutaj często i właśnie przypadkiem zabłąkał się do wnętrza zamczyska wieprz Piotrowej teraz — kiedy młynarz poszedł szukać skarbu.

— To oczywisty dopust Boży — odezwał się Bruzda stary kmieć z Lewochy — kiedy już żadnego nie było niebezpieczeństwa o życie młynarza.

— Widzicie — mówił on dalej — teraz otworzyły nam się wszystkim oczy i widzimy jasno, jakie to są djabły na świecie.

Wierzcie mi ludzie — wszystkie o nich baśnie podobny miały początek. Pytam się was wszystkich — powiedzcie mi szczerze, jak całkiem inaczej wydawałaby się nam cała ta przygoda Gazdowa, gdybyśmy ją byli na własne nie widzieli oczy? Młynarz prawił byłby o djable, którego na własne widział oczy — a całe sioło, ba nawet cała okolica z rozdziawioną gębą słuchałaby tej opowieści i jak w Boga w nią by wierzyli! Czy nie tak ludzie mili?

— Tak — tak — zawołał ktoś z gromady.

— Święta prawda — mówił drugi.

— Niechcę ja winić Gazdę, mówił Brózda dalej, iż on by chciał był nas okłamać; broń Boże i on był by jak najmocniej przekonany, że nie na wieprzu, jeno na szatanie wyjechał z zamczyska. Niema djabłów na świecie — a tylko z bojaźni bywają o nich gadki. Otóż macie dobrą naukę z całej tej przygody! Bóg ukarał chciwość a nam wszystkim otworzył oczy, żebyśmy już raz przejrzeli!

Święte wasze słowa! — wołali wszyscy i odtąd nikt już w baśń starą nie wierzył. Gazda i urlopnik, którego wynieśli poźniej z zamczyska gospodarze, długo odchorowali przeprawę z wieprzem a wyzdrowiawszy nie byli już chciwymi. Zaś urlopnik przestał nawet przezywać się Johanem od tego czasu.

Długoć ze śmiechem rozpowiadano sobie w Lewosze i całej okolicy o Gazdowym wierzchowcu, aż oto i ja posłyszałem historyę, i spisuję wam moi mili bracia na naukę i na zabawę. A najpierw żebyście poznali jak to brzydko być chciwym i pragnąć lekkim sposobem grosza. Pan Bóg najlepiej wie co komu potrzeba, i tyle dał każdemu ile on potrzebuje. Dał także Pan Bóg ludziom sposób na uczciwe zarobienie majątku i dostatku, ale na to trza pracować. Rzecz to djabelska iżby byle jakim sposobem bez pracy przyjść do dostatków, i dla tego też wszystkie skarby znalezione od djabła przychodzą i na złe idą człowiekowi, jak prawi przypowieść. Głupi urlopniczysko, co się ta nasłuchał bajek różnych od ludzi, chciał na złe poprowadzić młynarza, który także głupi że go posłuchał. I otóż zarobili na wstyd i pośmiewisko u ludzi. Dzięki Bogu że im to przynajmniej na dobre wyszło.

Grzela z Waszkowiec.

Co do waszego zdrowia pomaga.

A to moi kochani, pamiętajcie sobie, że nic tak zdrowiu waszemu nie szkodzi, jak kiedy człek w wielkiem niechlujstwie i nieochędożności żyje, a co się to u was moi ludkowie

po chałupach bardzo często przytrafia. Ale może powiecie: „że to u nas bieda, to nie można porządku zachować“.

Oj nieprawda moi kochani, i najbiedniejszy człek może być ochędożny; bo czyż to dla biednego nie ma wody, aby się co dnia jak się patrzy umył, uczesał, a w jakiś czas, cały w wodzie zanurzył? Wody przecie i najbiedniejszy nie kupi, a ona się tyle do naszego zdrowia przyczynia.

To też wy moje matki dajcie na to pozór, aby wasze dzieci były co dnia myte, uczesane, na to nie trza majętności, a to się wiele do zdrowia przyczyni.

Albo na ten przykład, wejdziesz nie do jednej chałupy, a tam śmiecia, co nie raz na wiosnę jeszcze adwent pamięta; a czy ci też to bieda przeszkadza, zamieść sobie co dnia ślicznie, pięknie w chałupie i przed chałupą? — a i to ci wielką pomocą do zdrowia, bo widzicie ludzie moi, że gdzie śmiecie, nieczystość, tam nie ma zdrowego powietrza, a ztąd różne niemocy na ludzie, a osobliwie na dzieci przychodzą.

O ten porządek, to szczególnie kobiety wiejskie starać się powinny, a strzedz się niechlujstwa jak grzechu. Dla tego muszę wam też tu powiedzieć gadkę o jednej kobiecie, co jej się taka niemiła stała okazja, i we wielką szkodę popadła, za to, że była nieochędożna plucha.

Otóż to tak było: W pewnej wsi, gospodarz rzecze jednego dnia ku wieczoru do swojej:

Słyszysz Magda, trza pono będzie jutro na jarmark pognać naszą krasulę; zanosi się na przednowek nielada, człek się Bożą manną nie obędzie, i do tego karmy nie ma, bydlęta się do wiosny nie przeżywią. Szkodać prawda krasuli, boć ta jeszcze kapkę mleka daje, ale znowu lepiej ją pozbyć niż boczulę, bo ta młodsza; a miał by się człek we dworze bez ustanku naprzykrzać, i tak się tam już jaką ćwiartkę winno; albo Panie odpuść u żyda pożyczyć, co by ci może od kilku ryńskich i trzecią część pola nie wagował się wziąć, toć lepiej sprzedać krasulę, i kupić sobie po ćwiartce zboża; odda się podatek, bo już Sołtys trzeci raz przysyła — i będzie człek spokojny. Ale wiesz ty co Magda? — rzekł znów gospodarz, do miasta kawałek, musimy wyjść przed świtem: śniadanie

warzyć, nie byłoby czasu, to rozpal na nalepie, i upiecz kilka placków; masz tam pono jeszcze trocha żytniej mąki, przymiel garstkę owsa, i zagnieć razem. No i zrobiła Magda do razu, co chciał gospodarz, i zanim legli spać to już placki były gotowe, i krasula miała założone w żłobie, bo Magda była niby nie zła baba, i robocza, tylko że straszna płucha, o czem się zaraz dowiecie.

Jak zarobiła placki, i jak sobie ręce ciastem oblepiła, tak jej ani nie przyszło na myśl, żeby się umyć; położyła się z takiemi rękami, a wstawszy przed świtem, gdzie jej też tam to było w głowie, aby się umyć. Ogarnęła się niby z wierzchu, wzięła świąteczną przyodziew, ale umyć się, że była niechluja, to jej się już nie chciało.

No i pojmali krasulę, ta i pędzą oboje, i nie wysoko jeszcze słonko było na niebie, kiedy doszli do miasteczka, i stanęli na krowiem targowisku.

Choć to już było na przednowku, ale jakoś jeszcze bydło popłacało, i kupców było dosyć. Kręcą się rzeźnicy i żydów jak by nasiał, wszędzie ich pełno; ot jak to po naszych jarmarkach.

Nie jeden już otargował krasulę; wreszcie mąż Magdy rzeknie: Zostań że tu przy krowie, a ja pójdę na drugi koniec i przypatrzę się jeszcze lepiej; może trza się i zgodzić, i wziąć 30 ryńskich aby ku południowi bydło nie spadło, a jak by ci kto tym czasem mało wiele nad 30 ryńskich nadłożył, to weź.

Nie opodal od nich stał jakiś polewacz jarmarczny, hultaj widać bity; ubiór jego niby rzeźnicki, niby z waszecia, zamawiał trocha z niemiecka, jakby żyd, ale to nie był żyd, tylko któż ta wie jakiej religii; otóż on dosłyszał, jak gospodarz nazwał swoją Magdę, jednym rzutem oka przepatrzył kobietę jaka jej chyba była, i jak on z tego będzie miał sposób wywieść ją w pole.

I nie wyszedł jaki kwadrans, jak gospodarz odszedł, zbliża on się do Magdy, która go dotąd nie widziała, i rzeknie: pani gosposiu, pani Magduś, ja sem tu przyszedł abyście mi oddali waszą krowę, com dopiero był kupił od waszego pana gospodarza; — a że on się tam gdzieś w urzędzie zatrzymał

to mi kazał pójść tu do was, i wziąć krowę, za którą mu aże 31 ryńskich zapłaciłem; i jeszcze bo on was przecie gosposiu *recht sehr* kocha, to nie chciał sprzedać krowy, póki mówił, jego kobiecie na piękny czepiec co nie dorzucę. I dla tego ja wam tu pani Magduś tego ślicznego cwancygierka, z Matką Boską, podaruję.

Ale — odrzekła kobieta, której choć się oczy na widok pięknego cwancygierka zaiskrzyły z radości, czegoś się przecie wagowała tak od razu oddać krowę nieznajomemu przelewaczowi — tylko panie kupiec ja was nie znam, co może mój — będzie się gniewał, jak bym wam bez niego krowę oddała?

Zaraz widać, odrzekł przelewacz, że to u was mądra głowa, — i żeby was nie prędko kto w pole wyprowadził, — gospodarz się też tego spodziewał i dla tego kazał powiedzieć, że ta jego kobieta, co tę krowę, tę krasulę trzyma na postronku, zowie się Magdusia, a poznam ją mówił, bo ma całe palce ciastem oblepione, co je na prędce zapomniała umywać; a zkądże by ja to wiedział, jak nie od niego?

Zaperzyła się trochę kobieta, bo jużcić prawda, że miała palczyska zaciaszczone po samą dłoń; ale sobie myśli: prawda, mój musiał mu to powiedzieć, bo zkądże by mu zaś przyszedł taki koncept do głowy? — ta i wzięła krowę za postronek i oddała przelewaczowi, porwawszy z radością białego cwancygierka, z którym pobiegła w rynek, myśląc sobie co wszystko za niego nakupuje.

W jakie pół godziny, spotyka swojego. — A cóż rzecze gospodarz, dużo ci nadłożyli, nad 30 ryńskich, — i któż kupił krasulę, czy Maciej rzeźnik, czy ten pan Ekonom, co ją najpierwej targował? Ej zalękło się serce Magdy na tę mowę, ale jeszcze w sobie myślała że gospodarz kpi. Ale gdzie ta, nie było kpin, bo Magda przez swoje niechlujstwo straciła krowę — i jak kamień w wodę, tak złodziej przelewacz przepadł z krową; a wszystko tylko Magda swojej głupocie i niechlujstwu przypisać sobie musiała, że za cwancygiera pozbyła krowę. — A tu miły Boże w chałupie nie było już ziarnka; ni podatku czem opłacić, ni co: dopiero by się im przez tę

okazyję była bieda dała we znaki, i byliby może musieli i ostatnią krowinę pozbyć, żeby nie dwór, co jak się o tem dowiedział, to się zlitował nad nimi, i ratował ich w biedzie.

Ale Magda, ta długi czas nieszczęśliwa była, nie śmiała się nigdzie pokazać, bo się z niej całuśka wieś naśmiać nie mogła, i prześmisznie ją przezywano; — tylko zaś za to na potem poprawiła się bardzo, i była najporządniejsza gospodyni we wsi — a i inne kobiety miały z tego naukę, i nie byłyby już nigdy wyszły nie ochędożne, i nie umyte z chałupy.

Ale na cóż tu czekać, aże kogo szkoda rozumu nauczy — lepiej być mądrzejszym od razu.

Pamiętajcie sobie więc moje gosposie wiejskie często na tę Magdę, i starajcie się, aby w waszych chałupach i koło was zawsze czysto i ochędożnie było. *Ludka z Myślenic.*

Rady gospodarskie.

O pługu.

Nie ma gadania o tem, że pług to rzecz najważniejsza dla gospodarza. Bez pługa niema całkiem gospodarki, bo kiej niema czem ziemię rozruszyć, to niema także gdzie posiać ziarno; zaś bez ziarna, bez siewu niema żniwa, a co mi to za gospodarka bez żniwa. Otóż bardzo ważna sprawa jest pług i oranie. Od pługa i od dobrego orania wiele zależy, czy będzie zboże piękne a czy nie. Nieurodzaje często ztąd przychodzą, że orka kiepska, zaś oranie najczęściej złe dla złego pługa. Nie raz ma człek grunt piękny, umie orać doskonale, ma i pług i doskonały zaprząg, a przecieć podziubie ziemię tak, że i chwasty nie chcą na niej rosnąć. I pyta potem: Moiściewy ludzie, zaś jaka temu przyczyna, a toć chyba uroki i czary jeno a nic inszego. Tymczasem uroków i czarów niema, jeno jest płużysko kiepski, że ino w piec z nim a nie do roli, i od tego cała przyczyna złego. Zda mi się przeto moi mili, że nie zawadzi pomiarkować sobie dobrze, jaki pług być powinien, i jaki jest najlepszy.

Dobry pług powinien ziemię nietylko krajać jak należy, ale także i przerzucać. Jużci jednakowo nie można orać każdej

roli; czasem trzeba głębiej, to znowu płytko, jak gdzie grunt jaki. Zaś można tak pług urządzić, aby wedle potrzeby orał i płyciej i głębiej, a jak to zrobić, będzie potem napisano. Zaś każdy pług powinien krajać ziemię prosto, bo wtedy skiby same się przewracają i lekko idzie pług, a chudoba niema mitręgi. Owoż dobrze na to trzeba uważać, aby pług krajał ziemię prosto, bo inaczej i bydlęta zamęczysz, i podłubiesz rolę jakby na kpiny.

Każdy z was moi mili wie dobrze, jak pług wygląda. Jużcić o tem powiadać wam nie potrzebuję, ale nie zawadzi zmiarkować, jaka to powinna być każda część pługa, i jak on cały powinien być złożony, aby był dobry. Otóż najpierw chodzi tu o lemiesz. Najlepszy lemiesz jest dobrze kończasty, a w tyle gruby i silny, zaś szeroki bogdaj na dziesięć cali. Lemiesz taki dobry do ziemi tłustej, glinkowatej i czystej; zaś do kamienistej nie zdał się na nic. W kamieniach lemiesz szeroki albo się złamie, albo tak pomęczy bydlęta, że ci popadają przy pługu; więc do takiej ziemi trzeba wązkiego lemiesza, aby nie miał więcej jak sześć cali szerokości.

Druga rzecz przy pługu jest krój, który idzie przed lemieszem, i ma skibę krajać od niezoranej ziemi.

Dla tego stoi on do brózdy nieco ukośnie, i ziemię więcej pruje, niż kraja. Pługi w krajach piasecznych nie mają i nie muszą mieć kroja, tem więcej potrzebują go zaś ziemie ciężkie, iłowate a bardzo trawą zarosłe.

Odkładnia albo odwalnica, trzecia część pługa, jest deska ku samemu lemieszowi przybita, a ma po prawej stronie lemiesza ziemię krojem nakrajaną i lemieszem poderzniętą i podźwignioną odrzucać w prawo i wcale przewracać, przy tem też jak najbardziej pokruszyć.

Nasad czyli płaz jest ta część pługa, na której są utwierdzone z przodku lemiesz, nad nim w prawo odkładnia. Nasad ma utrzymywać cały pług w równym chodzie, aby się lemiesz nie mógł ani za głęboko do ziemi wryć, ani aby nie mógł wzgórę podskakiwać. Nasad więc ma po ziemi się płaszczyć, w równej linji, jak przodem, tak spodem. Aby zaś takiem płaszczeniem się cały pług nie musiał się o ziemię bardzo trzyć, a przez to

bydło zbytnie utrudzać, jest dobrze, aby nie był zbyt długi, a do tego aby był gładki, co osobliwie przy nasadach żelaznych łatwo można uczynić, gdy przeciwnie drewniane nasady chropowate są i zwykle nie bardzo długo wytrzymują. Na długość nasadu liczy się zwykle półtora albo dwie stóp, na szerokość zaś tylko 3 albo 4 cali.

Dalej idzie słupica, jako piąta część pługa. Słupica jest podobna do słupa, który u spodu na ziemi spoczywa między lemieszem i nasadem, a w górę idąc trzyma odkładnię, bądź za pomocą śruby, albo gwoździa. Może także być nasad i słupica z jednego kawałka, co wtedy jest dobre, gdy ta część pługa jest żelazna.

Wszystkie te części pługa są spojone z grządzielem, który z przodku podobność ma do dyszla, i posługuje do zaprzęgu i kierowania całym pługiem. Jest to dyszel drewniany, który na końcu swoim ku przodku opatrzony jest w pierścień do zawieszenia wag, do których się bydło zaprzęga.

Nakoniec ma pług dla wygodniejszego kierowania jeszcze jeden albo dwa klęki, które sięgają w dół aż do samego nasadu, oprócz tego jednak i do grządziela przybite są. Klękami można pług kierować i dźwigać jako dźwignią, dla tego czynią one tę służbę tem lepiej, im dłuższe są a im ukośniéj są przysadzone. To tycze się głównie wszystkich pługów bez kół, pługi z kołami nie potrzebują zaś tak długich klęków.

Otóż macie siedm części pługa, a teraz jest pytanie, czy pługiem, który ma wszystkich siedm części takich, każdemu robotnikowi można dobrze orać? — Powiem ja wam, że nie zawsze. Nie tylko że części pługa niekiedy bywają źle urządzone a pług wtedy i przy najlepszym oraczu dobrze służyć nie może; ale i w innym sposobie źle się nieraz dzieje. Pług taki zbyt często puszcza się bardzo płytko, a kto płytko orze, ten i najdoskonalszym pługiem nie doorze się bogactwa. Pomówmy więc najprzód o pierwszej wadzie, to jest kiedy części pługa źle przypasowane.

Najczęściej znajdujemy u pługów naszych źle urządzony lemiesz do nasadu. Koniec lemiesza zawsze powinien głębiej stać niż jego stopa, jednakże nigdy w równi ze spodkiem nasadu. Kto chce swój pług dobrze oglądać, niechaj go postawi

na równej desce; tu musi tak stać, aby na desce tylko końcem lemiesza i końcem nasadu się opierał, między obiema temi końcami musi jednak zostać szczelina blisko calu wysoka wzdłuż całego lemiesza. Kto na to nie zważa i ma pług niestósownie urządzony, ten nigdy nie zdoła orać brózdy równej głębokości, lecz bardzo nierówne, częścią płytkie, częścią za głębokie. Co potem z takiego orania następuje i następować musi, powiemy później.

Drugą wadą pługów jest, że jeżeli mają krój, nie jest upewniony na właściwem miejscu. Krój, mając brózdę narznąć, musi zawsze krajać mniejszą skibę, aniżeli ma lemiesz podrzynać i dźwignąć; bo inaczej reszty nie można dosyć łatwo odgarnąć, i ziemia robi się garbowatą. Z tego wychodzi, że krój powinien stać zawsze nieco więcej w prawo niżli koniec lemiesza, tak iż na 1 albo 2 cali ziemi poderzniętej od lemiesza zostaje do następnej brózdy. Niewygoda od złego kroja, pokazuje się osobliwie w ziemiach trawą zarosłych, albo w koniczyniskach, gdzie krój ma przerzynać korzenie perzówki i koniczyny. Tu tedy zamiast gładko a równo zoranej ziemi, pokazują się ściany brózd pełne brył i niedotarganych korzeni, których nie można należycie przewrócić, aby pod ziemią zbutwiały.

Trzecia wada pługów jest często w odkładni. Zgoła wszędzie widać pługi z samą tarcicą albo deską równą. Jakże może taka deska to zrobić, co od odkładni żądamy, a najbardziej aby ziemię podtargniętą rozgarniała i przewróciła spodkiem na wierzch. Tego nie zrobi sama deska nigdy; ona tylko ziemię trochę skruszy, niektóre części ścierniska i korzeni pokryją ziemię, większa część jednak zostanie niepokryta na wierzchu roli. W ten sposób zorane pole ma więcej podobności do pastwiska, które świnie rozkopały, aniżeli do zoranej roli. Najwięcej widać to w ziemiach ciężkich, iłowatych. Tu się brózda ledwie w pół otworzy, wszystko trawsko, któreby miało być zagrzebane pod ziemią, wystaje po bokach, a tak rośnie znowu. Dla tego radzimy, aby każdy urządził sobie odkładnie nakrzywione; które wprawdzie z drzewa i desek nie łatwo, lecz tem lepiej z żelaza zrobić się dają i bardzo długo trwają. Zaś jeszcze więcej o tej sprawie napiszę wam inną razą.

Wydawca odpowiedzialny: E. Winiarz.